

MARTA SAWICKA-DANIELAK

# OKO TYGRYSA

O BESTII, KTÓRĄ STWORZYŁ CZŁOWIEK

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Marta Sawicka-Danielak

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

*Moim dzieciom  
oraz kotce Dobro*

Zwierzę patrzy na nas, a my stoimy przed nim nadzy. Być może właśnie tu zaczyna się myślenie.

Jacques Derrida, *The Animal That Therefore I Am (More to Follow)*

I kiedy zobaczyłam siebie jako mięso, z niesamowitym wstrząsem zobaczyłam również, że żyję w ponurym, bezlitosnym i godnym pożałowania świecie, który nie zrobi dla mnie wyjątku bez względu na to, jak bardzo będę inteligenta, ponieważ jak wszystkie żywe istoty jestem zrobiona z mięsa, jestem pokarmem dla innej istoty.

Val Plumwood, *The Eye of the Crocodile*

Nam, żyjącym pod umiarkowanym niebem i w epoce Henry'ego Forda, uwielbienie Natury przychodzi niemal naturalnie. Łatwo jest kochać słabego i podbitego wroga. Ale wroga, z którym wciąż toczy się wojnę, wroga niepokonanego, niezwyciężonego, nieustannie aktywnego – nie.

Aldous Huxley, *Wordsworth in the Tropics*

# Dojapur

*Indie, 21 lipca 2017*

W piątek nie chodzi się do dżungli. Wszyscy to wiedzą, ale nikt o tym głośno nie mówi.

Onima jeszcze niczego nie podejrzewa. Od niechcenia bawi się bransoletami przy parującym garze. Bulgocze najtańszy ryż. Więcej w nim robactwa niż ziaren. Ma żółto-brunatny kolor, choć mógłby być biały jak jej bransoleta – szakha. Ma taką na prawym i lewym przegubie. Obie powinny być zrobione z wielkiej morskiej muszli, jak szakha jej matki, babki i prababki. Ale to dziś zbyt kosztowne. Takie konchy stały się rzadkością.

Jej bransolety tylko udają tradycyjną biżuterię ślubną. Wszystkie są z plastiku. Razem cztery na obu przegubach, z białą zawsze sąsiaduje czerwona – połą. Ta Onimy imituje podwodny koral szlachetny. Cztery okrągłe ozdoby to symbol małżeństwa, tak jak w innych krajach złota obrączka na palcu.

W Indiach zamążpójście przybiera odcienie czerwieni: od karminu ślubnego sari i welonu panny młodej po chińską czerwień szinduru – przedziałka z cynobru, widocznego na czubku głowy jak świeża rana po uderzeniu. W Sundarbanach zwyczaj zabrania mężatce noszenia tego krwistego znaku we włosach, póki jej mąż nie wróci do domu z dżungli. Zbyt wielu nie wraca. Bez tych jaskrawych oznaczeń kobieta przestaje być zauważana, znika jej wartość dla społeczności. To komunikat, że straciła męża. A kobieta bez męża jest tu niepełna. Jest stracona. Wdowa na zawsze zdejmuje z siebie ozdoby i kolory. Staje się przezroczysta jak duch.

Ale Onima już dawno jest po ślubie, a jej mąż nie pracuje w lesie. Dlatego wkrótce sięgnie po pudełeczko ze szkarłatnym proszkiem, by

powoli rozetrzeć go kciukiem na głowie. Robi to co rano. Kilka dni temu została babcią. Rondžit pojechał pomóc ich pierworodnej w szpitalu w Kalkucie, do której Putul przeniosła się ze względu na pracę męża. Putul znaczy „lalka”. Córka skończyła już osiemnaście lat, ale gdy brała ślub, wciąż wyglądała jak dziecko. Jej mała laleczka, którą musiała oddać obcym.

Onima nie odwiedziła Putul w połogu, nie widziała jeszcze wnuka. Została na wyspie. „Kobieta nie podróżuje. Chyba że nie ma domu” – powie potem. W jej domu zawsze jest dużo pracy, za którą nikt nie płaci. Pieniądze są głównym zmartwieniem w ich małżeństwie.

Obraca w palcach suchą gałąź, łamie ją na mniejsze kawałki, wrzuca do skrzącego się paleniska. Wysoki płomień liże dno naczynia. Kobieta, której mąż jest w dżungli, nie może palić ognia, bo jego blask zwabia demona o płonącej tygrysię sierści. Taki demon porwał kiedyś jej teścia. To było dawno temu, dlatego jej dzieci nigdy nie poznały dziadka. Radzu ma teraz dwanaście lat i jako pierwszy w rodzinie skończył sześć klas i uczy się w siódmej, co napawa wszystkich dumą. Musi go wkrótce obudzić. Ale to za chwilę, jak jedzenie będzie gotowe. Dopiero świta. Przez sine monsunowe niebo wciąż nie może się przedrzeć ani jeden promień słońca.

Ruchy Onimy są ospałe. Stojąc w kuchennej izbie, kiwa się, kołysana miarowymi odgłosami deszczu. Ciężą jej powieki. Wtedy za bambusową kratą rejestruje nagły ruch. Powoli wstaje. Wygląda na zewnątrz. Wszystko wokół obejścia pływa w mętnej wodzie. Ale Onimy to nie dziwi. Monsuny, sztormy, powodzie – zna to od maleńkości. Wszystko to było, zanim na tej błotnistej ziemi pojawili się pierwsi ludzie. Choć w ostatnich latach natura rozdaje razy dotkliwiej. Coraz częściej zsyła przybierające na sile cyklony. Ale nikt się tu nie skarży na pogodę. Taki los. Przez pół roku cały ląd skrywa wielka woda, po której wybucha zieloność. Teraz w wodzie moknie krewny jej mąż. Macha, by wyszła. Czego chce? Rzadko tu zagłada.

Onima wychodzi prosto na zadaszony ganek. Monsunowa ulewa już niemal go dosięgła – nocą zdążyła połknąć gliniane schodki, które jeszcze wczoraj były suche. Kobieta martwi się, że wkrótce zgłodniała woda zacznie wgrzać się w dom, podobnie jak w zeszłym roku. I jak w poprzednich, gdy wszystko trzeba było budować od nowa. Jeszcze dzisiaj muszą coś z tym zrobić. Mąż będzie wiedział co. On umie się zająć wszystkim w obejściu.

– Gdzie Rondžit? – woła krewny.

– Nie ma go. Wrócił wieczorem z Kalkuty, ale jeszcze go nie widziałam. Zapytaj brata.

– Pytałem. Lepiej będzie, jak zaczniesz go szukać.

Jest parno, ale Onima czuje ostry oddech zimna na plecach. Zaczyna drżeć na całym ciele. Czuje coś ogromnego, co zbliża się nieuchronnie z taką siłą jak Sidr, jak Aila. Nagła cisza. Oko cyklonu. Nie umie tego wyjaśnić. Nie próbuje. Zaczyna biec.

Rzuca się w nurt, który jeszcze niedawno był rudą drogą przecho-  
dzącą w rozległe pola ryżowe. Rwie do przodu, ale stopy grzęzną w błocie, jakby ziemia chciała ją powstrzymać. Próbuje dotrzeć na brzeg rzeki, choć cała wioska stała się już rzeką. Szamocze się. Walczy z wodą i ziemią. Chce wygrać z żywiołami. Kiedy wreszcie dostrzega zarys lasu, brakuje jej tchu.

grupa mężczyzn przy łodzi

szybkie gesty

jeszcze więcej mężczyzn

ruch

wzbierający hałas

Czarna plama folii rozciąga się pod ciężarem, który niosą. Bulgoczący karmazyn zamiast twarzy męża.

Nie pamięta, co było potem.

# Waranasi

Indie, 14 stycznia 2018

Książka zawiera słowa. Słowa zawierają rzeczy. Niosą znaczenia. Powieść to zawiniątko z lekami trzymające rzeczy w szczególnej, silnej relacji względem siebie i nas.

Ursula K. Le Guin, *The Carrier Bag Theory of Fiction*

To był przypadek, chociaż nie wierzę w przypadki. Tak jak nie wierzę, że pewna kotka omyłkowo wybrała nasze drzwi i drapała w nie tak długo, dopóki jej nie wpuściłam. Od ośmiu lat jesteśmy nierozłączne. Tygrys też przyszedł nieoczekiwanie i bez zaproszenia. Nigdy wcześniej nie interesowałam się wielkimi kotami, choć przecież nawiedzały mnie w sennych koszmarach, o których na jawie próbowałam zapomnieć. Podobno wszystkie koty mają dodatkowy zmysł – wyczuwają energię i wszelkie wibracje, nawet z bardzo daleka. Znają plan zdarzeń na długo przed nami, niezależnie od naszej weni wiary.

Mam już wyrzucić prowizoryczną torbę ze starej gazety, kiedy spostrzegam zdjęcie. Niewielkie, nieostre, czarno-białe. Nie wiem, co dokładnie przedstawia, i nie rozumiem podpisu w obcym języku. Ale jest w nim coś, co nie daje mi spokoju. Siedem osób stoi w drewnianej łodzi, każda w takiej samej masce przedstawiającej męską twarz: szeroko otwarte oczy, malowany grubą kreską zawadiacki wąs, majak uśmiechu, orientalne nakrycie głowy. Trudno orzec, czy to trupa aktorów prymitywnego teatru czy może uczestnicy jakiegoś tajemnego rytuału. Scena ma w sobie rzadki magnetyzm. Jednocześnie coś w tym wszystkim do siebie nie pasuje, ale jeszcze nie potrafię powiedzieć co. Wydzieram artykuł z brudnej, posklejanej płachty papieru, w której kupiłam na śniadanie kiść bananów.

Owijanie jedzenia w gazetę. Jedzenie z gazety. Wielokrotne używanie z pozoru nieaktualnej gazety. Szybko chłonę indyjskie zwyczaje. Jak wiele innych wynikają z powszechnie panującej tu biedy. Zresztą nie tylko stare gazety mają mnogość zastosowań. Zbyt wielu ludzi, zbyt



wiele potrzeb, by marnować cokolwiek: plastikową butelkę, stary sznurek, przetarty papier, literę.

Jednorazówki mają wieleżyć. Modny zachodni trend *zero waste* nigdy nie opuścił Azji. Mahatma Gandhi pisał listy na odwrocie zużytego papieru, choć ani razu nie użył w nich słowa „ekologia”. Strona starej gazety z dziwnym czarno-białym zdjęciem trafi do bagażu cudzoziemki i poleci w odległe i syte kraje, by opowiedzieć o czymś od nowa. By opowiedzieć o tym, o czym nie mówi się głośno nawet tutaj.

Słowa też mają wieleżyć. Podobnie jak ludzie, rośliny, zwierzęta i przedmioty. Koło samsary zagarnia wszystko. Na świecie stała jest jedynie zmienność. Mało kto w Indiach wierzy w jednorazowość – tak życia, jak przedmiotu. Biedny może się tu czuć bogaty. Nigdy nie wiadomo, czy śmieć nie okaże się skarbem.

Zatrzymuję się w kolejce po uliczny chai i czekając w grupie miejscowych, wracam do studiowania zdjęcia z wycinka. Układ ciał pozujących jest nienaturalny. Niby stoją, ale dziwnie pochyleni. Coś tu nie gra, ale wciąż nie wiem co. Odwołuję się do wyobraźni. Dopiero gdy bezmyślnie się zapatrzę i przestanę analizować, dotrze do mnie, że to iluzja. Nikt nie pozuje przed obiektywem. Grupa mężczyzn stoi do nas plecami. Maski z namalowaną podobizną męskiej twarzy zdobią ich potylicy.

Gdy na to wpadam, czuję wyrzut dopaminy. Bez namysłu, za to z przesadnym entuzjazmem zaczepiam ludzi siorbiących herbatę z glinianych czarek. Szukam wyjaśnienia. Nikt z nich nie mówi albo nie chce mówić po angielsku. Jednocześnie wszystkich szczerze bawi biała kobieta, która na środku gwarnej ulicy macha pogniecionym starym papierem i zagaduje miejscowych. Indusi potrafią się śmiać. Do rozpuku.

Dopiero w hotelu łamana angielszczyzna portiera naprowadza mnie na jakiś trop. Hotel, w którym się zatrzymałam, znajduje się w ostatnim rzędzie zawilgoconych zabudowań. Pokrywa je misterna siatka pleśni. Grzyb czarnymi plamami stopniowo pochłania budynki stojące u błotnistej zejścia do Gangesu. Wyraz „hotel” może być mylący. To zaledwie kilka łóżek w pustych salach i nieduża jadłodajnia.

Wyraz „Ganges” również myli – to kolonialne dziedzictwo zapisane w języku. Święta rzeka to siła żeńska. To Ganga. To też żywa istota. Co więcej, istota o niezwykłych siłach i osobowości prawnej. Wierzą w to rdzenni mieszkańcy Indii, wie o tym też sąd stanowy w Uttarakhandzie,

który w marcu 2017 roku uznał rzekę za „żyjący byt” i przyznał jej prawa przysługujące żywym\*. Nikt nie może robić jej krzywdy: zaśmiecać, obsikiwać, opluwać, budować na niej tam czy mówić, którędy ma biec. Nikt nie ma prawa narzucać wyglądu, prostować krągłości ciała czy ograniczać ruchu, tak jak spotyka to jej europejskie siostry.

W indyjskiej tradycji cała przyroda, ze zwierzętami, roślinami, wodami, górami i wszelkimi bytami, współgra ze sobą i z człowiekiem, który jest jej częścią, ma więc taki sam status jak ona. Wszystko bowiem jest emanacją tej samej boskiej siły, w co wierzyły i wierzą rdzenne ludy Ziemi. W myśl tej tradycji przyroda ma takie samo prawo do ochrony oraz do prywatności jak człowiek. Przyroda to życie i świętość. A Ganga to najświętsza z rzek. To bogini i matka.

Dziś, 14 stycznia, gdy wyrwam fragment starej gazety, przypada Makar Sankranti – dzień, w którym każdy pobożny hindus powinien zanurzyć się w wodach Gangi, by oczyścić ciało, umysł i duszę. To czas, kiedy kończy się zima, a słońce wchodzi w znak Koziorożca – Makary. Czas, kiedy powracają długie jasne dni i światło, także w wymiarze duchowym. Hindusi radośnie fetują z całymi rodzinami, jedząc tego dnia tradycyjne słodkości i puszczając z tarasów i dachów budynków kolorowe latawce, które przesłaniają niebo nad najświętszym dla nich miastem – Waranasi. Według indyjskich astrologów 14 stycznia to również najpomysłniejszy dzień w roku, z którym wiąże się wiele legend. Wedle jednej z nich w tym dniu Ganga kończy swoją wędrówkę i przepłynąwszy przez aśram Kapil Muni, spływa przez wyspę Sagar w rejonie Sundarbanów prosto do Zatoki Bengalskiej, by tam połączyć się z oceanem.

Na razie niewiele jednak wiem o Sundarbanach. Nie mogę też wiedzieć, że jeszcze powrócę do wyspy Sagar. Wciąż też nie podejrzewam, jak pomysłny to dla mnie dzień i jak wielkim skarbem jest skrawek gazety. Nie wiem, że w tym świętym mieście Ganga postanawia mi opowiedzieć

\* Gdy wiadomość ta obiegła cały świat i znalazła się w nagłówkach opiniotwórczych gazet, Sąd Najwyższy Indii unieważnił wcześniejszy wyrok sądu stanu Uttarakhand, przyznający Gandze i jej dopływowi Jamunie podstawowe prawa, z których korzystają ludzie, by chronić zagrożone rzeki, uważane przez miliony za święte. Sąd stanowy uznał też, że we wszelkich sporach powinny one uczestniczyć jako strony reprezentowane przez swoich prawnych przedstawicieli.

o tym dalekim miejscu nad Zatoką Bengalską, że właśnie dziś, w Ma-  
kar Sankranti, w Sundarbanach, obchodzi się święto Bonbibi – Matki  
Lasu i wszystkich stworzeń, której kult zainspiruje mnie do napisania  
tej książki.

Podobno zanim Ganga połączyła się z Oceanem Indyjskim, na rozkaz  
boga Brahmę spłynęła z niebios na Ziemię, by sześćdziesiąt tysięcy dusz  
spopielonych synów króla Sagara mogło trafić do nieba. Chcąc uchronić  
Ziemię i ludzkość przed zniszczeniami rwącej rzeki, bóg Śiwa przyjął  
jej nieposkromiony nurt w swoje włosy. To dlatego na wielu przedsta-  
wieniach Ganga ukazana jest w jego włosach. Patrząc właśnie na jedno  
z nich, wciąż ściskając swój cenny wycinek z gazety. To wielki mural  
w tym starożytnym mieście, ulubionym miejscu Śiwy i hinduskich piel-  
grzymów. Przybywają tu od wieków po odkupienie dla siebie i bliskich  
zmarłych, których ciała przez całą dobę płoną na stosach nad brzegiem  
Gangi, by w postaci popiołu połączyć się z rzeką matką, która zmyje ich  
doczesne winy i pomoże dostąpić mokszy – wyjścia poza krąg ciągłych  
zmian i wcieleń, poza krąg samsary.

Raz na kilka dni z ghatu lub łodzi można dostrzec dryfujący na po-  
wierzchni rzeki balon – nabrzmiały całun powiązany grubym sznurem.  
To wzdęte, niepoddane kremacji zwłoki. Zgodnie z lokalną tradycją nie  
wszystkie obrządki pożegnania kończą płomienie Agniego – świętego  
ognia. Dzieci, kobiety w ciąży, święci jogini, a nawet ci, których ukąsił  
wąż – ziemską manifestacją samego Śiwy – powinni pozostać w całości,  
pogrzebani w ziemi lub oddani wodzie. Ale w Gandze pływają nie tylko  
ludzkie szczątki. Obecnie to nie tylko bogini, ale także toksyczny szlam.  
Jej dorzecze jest jednym z najbardziej zaludnionych obszarów na kuli  
ziemskiej. Jest drugą na świecie rzeką pod względem poziomu zanie-  
czyszczeń. Niesie w swoim nurcie odchody, ciała i śmieci całych Indii.  
Z miast i miasteczek spływa do niej codziennie prawie pięć milionów  
litrów ścieków. Nie zmienia to faktu, że zdaniem hindusów wciąż niesie  
duchowe oczyszczenie. Dzisiejszy stan wód Gangi ukazuje zderzenie  
mitu z rzeczywistością antropocenu – czy raczej, by użyć pojęcia uku-  
tego przez polskiego filozofa Andrzeja Marca, antropocienia – epoki  
ludzkiego wstydu<sup>1</sup>.

Teraźniejszość jednak wcale nie unieważnia prastarych trady-  
cji i wierzeń. Według nich życie toczy się według powtarzalnych cy-



Manikarnika Ghat nad brzegiem Gangu w Waranasi. Ciała zmarłych płoną na stosach przez całą dobę.

klów – dnia i nocy, narodzin i śmierci, przyływów i odpływów, pór roku. Zgodnie ze starożytnymi pismami hinduistycznymi czas wszechświata również jest podzielony na powtarzalne cykle, a dokładnie na cztery powracające ery – jugi. Opowieść o erach jest uniwersalną opowieścią obecną w kosmogoniach wielu kultur\*. W Indiach wierzy się, że żyjemy w czasie czwartego, ostatniego etapu cyklu, kulminacyjnej kalijudze – epoce ciemności i zła. Po niej znowu ma nastąpić satyajuga, era prawdy. Zanim do tego dojdzie, świat musi przejść fazę zaniku dobra, królowania głupców, prymatu kłótni i hipokryzji. To epoka obżarstwa, kultu ciała, pustej mowy, braku cnót, zabijania zwierząt oraz nieuleczal-

\* Starożytni Grecy nazywali cztery wieki ludzkiej cywilizacji wiekiem złota, srebra, brązu i żelaza. Ten znany z greckiej mitologii topos prawdopodobnie wywodzi się z wierzeń Mezopotamii lub starożytnego Egiptu. Indianie Hopi wierzą zaś, że po cyklu, w którym głowa i serce człowieka są rozłączone, następuje era, w której osiągną one harmonię.

nym chorób i wojen. Pod koniec kalijugi wody w Gandze mają zamrzeć i wyschnąć.

Kiedy to nastąpi? Wiemy, że Ganga już wysycha. Każdego roku poziom jej wód jest coraz niższy z powodu kurczących się himalajskich lodowców, z których rzeka bierze swój początek. Rzeka wysycha również ze względu na to, że służy ludziom do nawadniania olbrzymich obszarów pól. A ludzi w Indiach wciąż przybywa. Naukowcy alarmują, że Ganga może się wkrótce stać rzeką sezonową. Święta rzeka umiera podobnie jak Indus, Nil, Mekong, Dunaj, Rio Grande i wiele innych na całym globie. Ganga ochroniła i chroni ludzkość przed potępieniem, ale kto uratuje ją samą? Poziom zanieczyszczeń tej rzeki jest trzy tysiące razy wyższy od limitu określonego przez Światową Organizację Zdrowia jako bezpieczny. Badania dowodzą, że skażenie postępuje. W czasie pandemii COVID-19 ta „dawczyni życia”, jak nazywają ją hindusi, stanie się dosłownie nurtem śmierci. Cmentarną rzeką, do której setki tysięcy najuboższych mieszkańców nadbrzeżnych osad wyrzucą ciała swych bliskich, nie mając pieniędzy na drewno do ich spalenia. Ludzie zobaczą z brzegów świętej rzeki apokaliptyczne obrazki z niespotykaną dotąd ilością unoszących się na powierzchni trupów. Tak będzie wyglądać droga do nieba tysięcy ofiar koronawirusa. Niegdyś z namaszcze-



Święta dla Hindusów rzeka Ganga jest dziś rzeką śmierci.

nieniem pita i uzdrawiająca woda Gangi stanie się toksyczna, zatruje ludzi i zwierzęta.

Teraz w Waranasi powoli budzi się dzień, w którym Ganga spotkała się z oceanem, by go odnowić. Jest sporo przed świtem, a mnie poderwały rytualne dzwonki sunącej ku rzece procesji, do której dołączyłam. Szczelnie opatulona grubym nepalskim szalem uczestniczę w podniosłej pudzi nad brzegiem Gangi. Mimo dokuczliwego zimna w rzece zanurzają się ci, którzy wierzą, że jedna kąpiel zapewni im ochronę na całe życie. Nie widzę ich. Jest jeszcze ciemno. Słyszę jedynie ciche odgłosy mąconej wody. Wokół siwo od mgły i kadzidlanego dymu. Słońce wszędzie dopiero za dwie godziny. Podobno ten szczególny czas przed wschodem jest święty (punja kal). Nie widzę ani bogów, ani brzegu, ani horyzontu rzeki równie świętej, co skażonej. Płomienie ceremonii arti, których jasność chłone, skąpo oświetlają jedynie malowidło niebieskoskórego androgynicznego Śiwy, który siedzi na ogromnej tygryskiej skórze. Zgodnie z hinduską, a potem buddyjską tradycją skóra tygrysa ma zapewnić ochronę medytującej osobie.



Arti – ceremonia ognia nad świętą rzeką Gangą w Waranasi.



Plaskorzeźba przedstawiająca medytującego Śiwę – zwanego Adiyogi, Pierwszym Joginem.

Nie umiem oderwać wzroku od głowy tygrysa, którego oczy mnie hipnotyzują. Zagapiam się, nieruchomieję. Siadam w tej samej medytacyjnej pozycji, co Śiwa na malunku. Na czas kalijugi wiele pism hinduskich zaleca medytację, jogę i wzmacnianie ducha oraz współodczuwania, a nie fatalizm. Zamykam oczy i porzucam myśli. Wsluchuję się we wspólny wszystkim istotom rytm oddechu. Oddechem reguluję wewnętrzny kompas. Powoli nabieram do płuc tego samego powietrza, które pobierają wszystkie organizmy wokół, niezależnie od gatunku i statusu. Zawdzięczam tlen oceanowi, do którego zmierza Ganga, i jego mikroorganizmom. Zaczynam czuć moc rzeki. Rozlewa się po moim ciele i zaczyna płynąć w żyłach. Staję się wodą z jej nieskończonością. Staję się niebieskim Śiwą. Staję się całą naszą niebieską planetą. Połączenie. Zatrzymanie. Bezczas.

Pisma Wschodu mówią, że jedynie to, co nie ulega przemianie, jest prawdą, jest więc wieczne. Medytacja uświadamia nam stałość i potęgę naszej jaźni oraz tymczasowości i ułomności ciała, a także wszelkiej materii, o którą tak bardzo zabiegamy w doczesnym życiu.

Ceremonia arti symbolizuje zaś jednię z uniwersalną świadomością. To rytuał sprowadzenia absolutu do jednostkowej materii. W każdej pudży, w której pojawia się ogień, zawsze jest też woda – jako nieodzowny element uzupełniających się przeciwieństw. Ale jeszcze nie wiem, że to ona, święta woda, Ganga, łączy wszystko: mnie, piszącą w 2022 roku te słowa, z pozornie przypadkowym fragmentem gazety znalezionym w 2018 roku, akurat w dniu spotkania bogini rzeki z oceanem. Jak mówią wedyjskie pisma, kosmiczna mądrość przenika wszystko. Trudno pojedynczym rozumem dociekać sensu w systemie z pozoru przypadkowych powiązań. Rozpoznanie, zwane też oświeceniem, dzieje się poza intelektem.

Dlatego nie mogę wiedzieć, że Ganga spaja tygrysią skórę Śiwy, która hipnotyzuje mnie podczas pudży, z kolejnymi latami moich poszukiwań, rozmyślań, mojej podróży. Podróż, która odmieni mnie i moje widzenie świata, a która będzie naturalnym odcinkiem wieloletniej wędrówki z głowy do serca. Ten etap drogi wskaże mi tygrys. On będzie moim przewodnikiem przez las opowieści.

Będzie to też wyprawa wraz ze świętą rzeką – od jej krystalicznie czystych początków w coraz szybciej topniejącym lodowcu Gangotri w Himalajach aż do miejsca, które mi właśnie wskazała – jej ujścia w Zatoce Bengalskiej. Tam przed siedmioma tysiącami lat, biegnąc przez cały subkontynent, przyniosła osady z przedgórze Himalajów, by uformować Sundarbany – archipeląg namorzynowych wysp, o których jest ta meandrująca wraz z rzeką księżka.

Również tam przynosi obecnie nieoszacowany ogrom nieczystości, w tym 115 tysięcy ton plastikowych odpadów rocznie. Za cztery lata, podczas Makar Sankranti w 2022 roku, jej święte wody będą z rządowych dronów rozpylane na morze pielgrzymów zgromadzonych na wyspie Sagar, by zmniejszyć tłok i zapobiec zanurzaniu się ludzi w „oczyszczającej” rzece podczas epidemii wirusa SARS-CoV-2.

Moja podróż okaże się snutą przez Matkę Indii opowieścią. Okaże się pieśnią rzeki, lasu i tygrysa. Wierzę, że nad wszystkim od początku czuwała Bogini. Ganga, Parwati, Bharat Mata, dosiadająca ognistego tygrysa Durga, odziana w tygrysią skórę Mata Kali, stojąca na straży Sundarbanów bengalska bogini Bonbibi – matka lasu i jego stworzeń, pogromczyni demona ludzkiej chciwości. Wszystkie one to jedynie awa-





Tygrys to w hinduizmie wierzchowiec Durgi, a także Kali, jego figurę można spotkać obok bogini Bonbibi – Pani Lasu i jego stworzeń. Wszystkie one to jedynie awatary tej samej Bogini Matki, Mahadewi, potężnej żeńskiej siły – śakti.

tary, czyli kostiumy tej samej potężnej żeńskiej siły – mocy stwarzania, pielęgnacji i ochrony. Ale też niszczenia wszelkiego zła i nieprawości. To siła Bogini Matki, Mahadewi.

Indyjska kosmologia opiera się właśnie na niej – na śakti, żeńskiej części absolutu, bez której nie ma równowagi. Jest ona również perso-

nifikacją twórczej energii boga Śiwy. Śakti to jego małżonka, z którą się całkowicie zintegrował, nie będąc już ani mężczyzną, ani kobietą, lecz mocą Śiwa-śakti, transgenderowym bogiem przypominającym nam, że zasady męskie i żeńskie są nierozłączne, podobnie jak to, co ludzkie i pozaludzkie. Śiwa-śakti jest jak taoistyczne jin-jang, dwie uzupełniające się siły tworzące niepodzielną całość.



Ten sam długi dzień. Wieczór.

Noclegownia w świętym mieście Waranasi, w którym czas płynie zupełnie inaczej niż w świecie, z którego przybyłam. Czuję to całą sobą i poddaję się temu rytmowi. Właśnie próbuję wyjaśniać obsłudze, dlaczego wymięty gazetowy świstek jest dla mnie ważny i jakie zrodził pytania. Ale niewiele osób zwraca na mnie uwagę, bo na zewnątrz ktoś puszcza kolorowe fajerwerki, a portier częstuje zebranych tłustymi słodkimi zawijasami jalebi z szafranem i domowej roboty kwadracikami methi pak.

Cierpliwie czekam, aż nad świątecznymi specjałami zbiorą się niemal wszyscy zatrudnieni w obiekcie mężczyźni. Jest ich naprawdę wielu, bo *multitasking* to wymysł Zachodu. Tu każdy ma swoje obowiązki i nikt nie próbuje rozszerzać kompetencji ani zmieniać specjalizacji – jedna osoba zamiata podłogę, inna ją zmywa, jeszcze inna przeciera stoły w jadalni. Nie widać konkurencji ani rywalizacji. W tak ludnym kraju pracą trzeba się dzielić sprawiedliwie, każdy jej potrzebuje. Ale w takich miejscach trudno dostrzec kobiety. Jeśli w ogóle pracują poza domem, to na zapleczu, a nie od frontu. Są podobnie niewidzialne jak w przeważającej reszcie świata. A może nawet bardziej.

Mój cenny papierowy skrawek tonie teraz w morzu czarnych męskich głów, które kiwają się nad nim w charakterystyczny dla Indusów sposób. Do pracowników obiektu dołączają rykszarz i rechoczący na mój widok sprzedawca, który za rogiem poleca herbatę – najwyraźniej pamięta, jak rano biegałam po okolicy z gazetą. Gdy już zaczynam tracić wiarę w postępek zbiorowego śledztwa, nagle tuż obok słychać:

– Tiger! Tiger!

# Tygrys! Tygrys!

Tygrysie, błysku w gąszczach mroku:  
W jakim to nieśmiertelnym oku  
Śmiał wszcząć się sen, że noc rozświetli  
Skupiona groza twej symetrii?

William Blake, *Tygrys*, przeł. Stanisław Barańczak

„Tygrys! Tygrys!” – tak zaczyna się słynny wiersz poety i mistyka Williama Blake’a *The Tyger*, opublikowany w 1794 roku wraz z ilustracją autora. Znam go niemal na pamięć. Zresztą nie tylko ja – ten twór z tomu *Pieśni doświadczenia* to jeden z najczęściej przedrukowywanych wierszy anglojęzycznych wszech czasów. Otwiera go kultowy dystych powtórzony w ostatniej strofie:

*Tyger Tyger, burning bright,  
In the forests of the night*<sup>2</sup>

To również jeden z najczęściej tłumaczonych angielskich wierszy. Na polski przełożyło go wielu znakomitych tłumaczy, obrósł licznymi analizami krytycznoliterackimi i interpretacjami, zwłaszcza w zestawieniu z *Barankiem* – siostrzanym utworem z wcześniejszego tomu Blake’a, zatytułowanego *Pieśni niewinności* (1789)<sup>3</sup>.

Zanim zacznę studiować historię literatury i dowiem się tego wszystkiego, będę dzieckiem, które kocha czytać i słuchać opowieści, najbardziej tych z dalekich lądów. Dlatego głośne „Tygrys! Tygrys!” obudzi we mnie dobrze utrwalony obraz sfatygowanej okładki dwuczęściowej *Księgi dżungli* Rudyarda Kiplinga w tłumaczeniu Józefa Birkenmajera, ulubionej lektury mojego dzieciństwa, którą mam w domu do dziś. *Tygrys! Tygrys!* – tak brzmi tytuł jej trzeciego rozdziału, w którym Mowgli tańczy na skórze zdartej ze swego odwiecznego prześladowcy – Shere Khana, tygrysa ludojada.

To właśnie ta książka, prezent urodzinowy od rodziców, będzie źródłem moich pierwszych czytelniczych ekscytacji i splecionego z nimi

słodko-gorzkiego lęku. To ona rozkocha mnie w Indiach – o podróży do tego kraju będę marzyć przez wiele lat, mając w pamięci egzotyczną scenerię *Księgi dżungli*. Jestem kilkulatką, a ta gruba książka w miękkiej oprawie, o nieprzyjemnie szorstkim, brązowym papierze, co wieczór leży przy moim łóżku. Okładka jednej części jest jaśniejsza, pastelowa, z podobizną małej małpy i napisem „cena zł 600”. Tę rzadko oglądam. Wolę tę drugą, która mnie hipnotyzuje i każe wgapiać się mimo rodzącego się za mostkiem strachu. Wygląda jak obraz olejny. A może nieostre zdjęcie? Naprawdę trzeba się dobrze przyjrzeć, żeby na tle ciemnozielonej roślinności dostrzec czarne litery składające się w słowa: Rudyard Kipling, *Druga księga dżungli*. Ale wcale nie chcę widzieć liter. Mrużę oczy, by litery zupełnie zniknęły. Chcę widzieć tylko głowę tygrysa na tle mroku dżungli. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, że tam jestem: soczysta zieleń gęstwiny rozświetlona ognistą plamą wielkiego pręgowanego pyska; groźnie zmarszczony nos, nastroszone wibrysy, żółty blask wściekłych oczu, dziko obnażone kły gotowe do ataku. Mam wrażenie, że ściany mojego pokoju rozsadza potężny ryk.

Po pewnym czasie obraz i wyimaginowany dźwięk nie wystarczają – by podsycić strach, odnajduję swoje ulubione fragmenty. Chłonę je tuż przed zaśnięciem: „Atoli przez jedną noc w roku Istota Bezwłosa boi się tygrysa [...], a trzeba przyznać, że tygrys czyni, co w jego mocy, by strach ten uzasadnić i powiększyć. Gdziekolwiek wtedy napotka Bezwłosą Istotę, zabija ją na miejscu”<sup>4</sup>. Albo: „Krew Człowieka! Krew Człowieka! Kulas zabił Człowieka! [...] – Polowałem dla przyjemności, nie z głodu! – odburknął Kulas”<sup>5</sup>. Albo ten: „Ale wówczas skacze z tyłu, a uderzając, zwraca w bok głowę, bo przepęnlony jest lękiem. Uciekły, gdyby zetknął się ze wzrokiem Człowieka. Atoli w swoją noc zachodzi jawnie do osiedli ludzkich, przechadza się pomiędzy domami i wtyka łeb do sieni”<sup>6</sup>.

I tak co noc umieram w paszczy Shere Khana, którego podobizna z okładki ściga mnie w koszmarach. Mam dziewięć lat i przed odległym geograficznie gatunkiem zwierzęcia nie mogę się pozbyć irracjonalnego strachu, który wywołała we mnie wielokrotna lektura ulubionej książki. W pewnym wieku dzieci lubią się bać. Ja również. Jest koniec lat osiemdziesiątych. Nie ma smartfonów ani Netfliksa. Jest papierowy tygrys. Dosłownie i w przenośni, bo to także chiński idiom oznaczający coś tylko pozornie niebezpiecznego.

Psychoterapeuta Mark Epstein, który w pracy łączy nauki buddyjskie i medytację z poglądami Freuda, pisze, że „człowiek jest jedynym zwierzęciem, które w obliczu traumy kontynuuje traumatyzację, odgrywając i odtwarzając to, co już się wydarzyło, aby ponownie przestraszyć samego siebie. [...] Przez to nieustanne powtarzanie traumy utrwalamy ją w naszej psychice jeszcze wyraźniej – nawet gdy pragniemy bezpieczeństwa i bliskości, które ze względu na nasze działania stają się niemożliwe”<sup>7</sup>. Jak twierdzi Epstein, na tym właśnie polega sztuczka strachu: często rodzi on sam siebie.

Podobno człowiek rodzi się wolny od lęku. Pisząc te słowa, zerkam na moją kilkutygodniową córkę i jestem pewna, że to prawda. Naukowcy twierdzą, że wyjątek stanowi lęk przed głośnymi dźwiękami (na przykład piorunami) i lęk przed spadaniem. Wówczas chroni nas strach. Wiemy, że silny stres aktywizuje fizjologiczną reakcję „walcz albo uciekaj”, choć i ten mechanizm jest dezawuowany przez niektóre badaczki, które dowodzą, że odnosi się on głównie do samców zwierząt, podczas gdy samice częściej reagują modelem „czułości i przyjaźni”<sup>8</sup>.

A co ze strachem o przyszłość, o zdrowie bliskich, przed samotnością czy utratą pracy? Podobno ten rodzaj strachu jest wyuczony i wypływa z naszego wychowania, doświadczenia. Nie jest związany z realnym zagrożeniem, tylko kulturowymi wyobrażeniami o nim. Zazwyczaj wiąże się z przeszłością lub z przyszłością, nie wydarza się więc tu i teraz, jak choćby w wypadku spotkania drapieżnika w lesie. A przecież realnie boimy się dzikich, często bardzo odległych zwierząt, których nie mamy szansy na co dzień spotykać. Ten lęk wytworzyła w nas kultura. Gdy ludzie żyli na otwartych terenach, lęk przed zwierzętami pełnił funkcję ochronną. Dziś strach przed drapieżnikami to dla przeważającej części żyjących na Ziemi czysty fantazmat. Nie powinniśmy się ich obawiać, bo odgradziliśmy się od nich murami miast.

Nauka także dowodzi, że strach przed drapieżnikami nie jest instynktownym, ale właśnie wyuczonym zachowaniem, rozwijającym się tylko wtedy, gdy ofiary dzielą przestrzeń ze zwierzętami, które je zjadają. Co ciekawe, zarówno ludzie, jak i pozaludzkie zwierzęta muszą nauczyć się tego lęku od swych matek, podobnie jak muszą się od nich nauczyć reakcji na bodziec obrony bądź ataku.

W filmie wyprodukowanym przez Discovery młoda małpa swawoli w dżungli z tygrysiętami – łapie je za ogony, za uszy, ucieka na drzewo

i ponownie zbiega, by klepać je w pęgowane zadki. Nie jest to scena wyreżyserowana przez człowieka, choć początkowo sprawia takie wrażenie, bo przecież w życiu tygrysa wszystko toczy się wokół polowania, ale dopiero od pewnego momentu. Pęgowane kocięta w filmie odpowiadają na małpie zaczepki zabawą, bo jeszcze nie widzą w niej posiłku. W pierwszych miesiącach życia młode tygrysy polegają wyłącznie na matce, a czas upływa im na dziecięcych igraszkach, jak większości młodych – ludzkich i pozaludzkich.

Gdy tygrysięta mają pół roku, zaczynają pobierać lekcje polowania, ale dopiero około drugiego roku życia są w stanie samodzielnie zdobyć posiłek. Wtedy też kończy się ich serdeczna relacja z rodzicielką i rodzeństwem. Matka wypycha je poza swoje terytorium, by znowu się okocić. Każde z kociąt musi podbić i wyznaczyć własny teren. Dojrzałość i zdolność zabijania czynią z najbliższych członków rodziny śmiertelną konkurencję, a z małpiej towarzyski dziecięcych uciech – przekąskę, gdyż pełne danie stanowią dla tygrysów duże zwierzęta kopytne.

Dlatego, gdy spotykam tygrysy podczas safari w azjatyckich parkach, wpadam w panikę i krzyczę do kierowców, byśmy natychmiast odjeżdżali? Dlaczego miękną mi kolana i wypada z ręki telefon, gdy Rutu, znajomy wolontariusz pracujący w tymczasowym azylu, prowadzi mnie do pomieszczenia z dorosłym samcem tygrysa bengalskiego, który wkrótce wróci do indyjskiej dżungli? Budynek przylegający do niewielkiego wybiegu jest ciasny i od początku narzekam, że jesteśmy za blisko dzikiego kota, który na razie bezpiecznie wyleguje się na zewnątrz. Dzieli nas tylko siatka. Jej grubość uznaję za niewystarczającą i łamiącym się głosem proszę, byśmy jednak opuścili to miejsce. Wtedy tygrys wbiega do środka i z rykiem rzuca się na ogrodzenie. Ostatnie, co pamiętam, to moje zdziwienie, że ziemia drży pod wpływem siły jego ciała – a może głosu? Po odzyskaniu świadomości wymiotuję. „W sumie dobrze, że zemdłałaś. To znaczy, że w lesie nie byłabyś świadoma śmierci i bólu” – żartuje potem Rutu, którego moje omdlenie przeraziło bardziej niż praca z drapieżnikami. Ale skąd we mnie ten lęk? Skąd taka reakcja?

Gdy wspominam barwną narrację *Księgi dżungli*, wiem, że nie tylko jeden kulawy i pęgowany wróg Mowgliego wzbudzał strach. Wedle opisaney w książce legendy o początkach dżungli i wszelkiego stworze-

nia to właśnie Tygrys wprowadził do puszczy Śmierć, a wraz z nią do życia wszystkich istot wkroczył Strach. To pierwszy z Tygrysów zabił Człowieka i tym samym nauczył go zabijania<sup>9</sup>. To on sprzeciwił się dotychczasowemu prawu lasu i niczym biblijna Ewa podająca Adamowi zakazany owoc wypędził stworzenia z raju, którym dotąd była dżungla. Winny jest więc pierwszy tygrys, tak jak winna jest pierwsza kobieta.

Od przynajmniej kilku tysiącleci pozycja kobiety w historii ludzkiej kultury, bez względu na religię, oscylowała między uwielbieniem a upokorzeniem, między figurą świętej a figurą ładaczniczy, postacią bogini a postacią służki. Podobnie rzecz ma się z tygrysem, który był zarówno wywyższany jako bóstwo, stworzenie mistyczne o rzadkiej duchowej mocy, jak i eliminowany jako pazerna bestia, pasożyt i plaga dżungli. Zresztą zgodnie z patriarchalną narracją kobieta i kot to często istoty czarce, niebezpieczne – osobno i w parze.

„Ma znaczenie, jakimi opowieściami opowiadamy historii”<sup>10</sup> – porzucam mi w głowie zdanie Donny Haraway. Monomit i archetypiczna podróż heroicznego męskiego bohatera<sup>11</sup> wyjałowiły opowieść jak wszystkie monokultury. Taka narracja jest niekompletna, nie mówi wielu istotnych rzeczy o naszym doświadczeniu, świecie i innych zamieszkujących go istotach.

W 1986 roku Ursula K. Le Guin napisała kultowy esej *The Carrier Bag Theory of Fiction*. Odwoływała się w nim do Virginii Woolf, która chcąc odnowić język angielski i sposób opowiadania, zaproponowała zamianę wyrazu *heroism* (heroizm) na *botulism*, a co za tym idzie – wprowadzenie bohatera stającego się „butelką”, pojemnikiem. Na bazie tego pomysłu Le Guin stworzyła metaforę „powieści torby”, „powieści worka”. Przekonywała, że przed erą dominacji włóczni, kijów i mieczy największym wynalazkiem ludzkości był pojemnik – koszyk dzikiego owsa, sieć plecioną z własnych włosów czy skupiający ludzi dom albo świątynia. Ta swoista wizja ewolucji i jednocześnie teoria narracji zbieraczej, inkluzywnej, oddaje różnorodny i polifoniczny charakter świata. Przeciwstawia się trzymającej w napięciu narracji indywidualnego bohatera opartej na konflikcie, dominacji oraz śmiercionośnej broni.

Zdaniem niektórych to właśnie ten progresywny schemat narracyjny, oparty na rozwoju akcji oraz rywalizacji bohatera i jego podbojach, ukształtował nasze zachodnie technokratyczne myślenie o świecie i jest obciążony najczarniejszą z konsekwencji: katastrofą klimatyczną. Dla-

tego sposób opowiadania bazujący na wielogłosowości oraz wsłuchi-  
waniu się w to, co często marginalne, pozaludzkie, towarzyszył mi pod-  
czas pracy nad książką. Tym, czego dziś potrzebujemy, jest omnistoria.  
Światopowieść.

Wiemy, że historie, które wchłaniamy od maleńkości, mają wpływ  
na naszą wrażliwość i sposób postrzegania świata. W większości są  
opowiadane z ludzkiej perspektywy i kształtują nasze sympatie bądź  
fobie, także względem środowiska naturalnego. Dlatego zdarza się, że  
mimo zmiany warunków życia na bezpieczne i miejskie, mimo szcze-  
gółowej, zaawansowanej, pozostającej do naszej dyspozycji wiedzy na  
temat przyrody, wciąż funkcjonujemy w zakętym kręgu szkodliwych  
stereotypów, trujących porzekadeł czy wykluczających baśni takich jak  
*Czerwony Kapturek* – opowieść o zjadającym ludzi przebiegłym wilku.

Moim wilkiem od dzieciństwa był tygrys, a każde przedstawienie  
tego zwierzęcia, które napotykałam, potwierdzało jego ludożerczy, pe-  
len agresji i okrucieństwa obraz. Nie pomogła nawet подарowana przez  
babcię książka Czesława Janczarskiego *Tygrys z złotym sercu* z pięknymi  
ilustracjami Józefa Wilkonia. Dowiedziałam się z niej bowiem, że do-  
bry tygrys to ewenement, odrzucony przez resztę krewniaków „napada-  
jących na bezbronne zwierzęta”, a jego dobroć polega na wyrzeczeniu  
się własnej natury i byciu... jarozsem. Podobne przesłanie niesie wiersz  
Wandy Chotomskiej, którego uczyliśmy się w podstawówce na pamięć,  
wdrukowując w głowy frazę: „Gdyby tygrysy jadły irysy, to by na świecie  
nie było źle, bo każdy tygrys irysa by gryzł, a mięsa wcale nie”.

Jak stwierdził historyk Keith Thomas:

Przypisywane poszczególnym zwierzętom charaktery były zazwyczaj  
stereotypami opartymi nie tyle na obserwacji, ile na literackim dzie-  
dzictwie. Wywodziły się z greckich, rzymskich i średniowiecznych  
kompilacji, a nie z obserwacji życia na polach i w lasach. Przez wie-  
ki lis był chytry, koza lubieżna, a mrówka zapobiegliwa. W dziełach  
Goldsmitha i innych osiemnastowiecznych popularyzatorów historii  
naturalnej świnia nadal była brudna i „obrzydliva”, tygrys „okrutny”,  
wąż „zdradziecki”, a łasica „okrutna, żarłoczna i tchórzliwa”<sup>12</sup>

W XIX wieku, kiedy powstała *Księga dżungli*, tygrys jawił się Brytyjczy-  
kom jako istota tchórzliwa i podstępna, gdyż przez swą samotniczą na-



ture był trudny do namierzenia w azjatyckich dżunglach. A namierzyć go chcieli europejscy myśliwi, rozkochani w strzelaniu do dużych kotów w swych zamorskich koloniach. Ich doświadczenia z „odważnym” i żyjącym stadnie lwem, którego łatwiej wypatrzeć na afrykańskiej sawannie, sprawiły, że tygrysa zaczęto postrzegać jako zwierzę przebiegłe i „niehonorowe”. Przez kolejne stulecia utożsamiano go z polującym na ludzi Shere Khanem Kiplinga.

A przecież nie tylko ja zaczytywałam się *Księgą dżungli*. Tak samo pochłaniały ją dzieci wielu pokoleń w różnych częściach globu, bo niewiele tekstów do tego stopnia potrafi rozpalic wyobraźnię i zająć na długie godziny. Choć kanon lektur się zmienia, *Księga dżungli* – bez odpowiednich komentarzy – wciąż się w nim znajduje. Właśnie czyta ją moja dwunastoletnia córka, która chodzi do polskiej szkoły. Pomimo tego, że Kipling był bardzo uważnym obserwatorem indyjskiej przyrody i obyczajów, mającym ogromną wiedzę o tym kraju, to w 1894 roku, gdy po raz pierwszy wydano *Księgę dżungli*, o tygrysach nie wiedziano niemal nic. Postrzeżenie tych dzikich kotów zostało dodatkowo wypaczone przez kolonialną propagandę. Od tamtej pory badania nad tygrysami ewoluowały, ale ich wyniki nie są w stanie dotrzeć do ludzi tak jak zajmująca fikcja: *Księga dżungli*. Dlatego przez ostatnie dziesięciolecia odbiór tego zwierzęcia, w książce przedstawionego nie tylko jako ludojad, lecz także jako symbol chciwości, podstępny i demoniczny zła, niewiele się zmienił. Tak jest przynajmniej wśród najmłodszych, którzy przecież szybko stają się dorosłymi.

„Dobyl z szerokiego pasa krzesiwo i hubkę, pochylił się i chciał opalić tygrysowi wąsy. Zwyczaju tego przestrzegają myśliwi Indyj, wierząc, że chroni to od prześladowania upiora zabitego zwierzęcia” – czytam u Kiplinga w rozdziale *Na tygrysa*<sup>13</sup>. Obecnie te właśnie prymitywne, powtarzane od tysiącleci przesady i rytuały wciąż skłaniają ludzi do zabijania tych zwierząt. Należy do nich między innymi wiara w leczniczo-magiczną moc poszczególnych części ich martwych ciał dostarczanych przez azjatyckich kłusowników na chiński rynek.

Dla wielu z nas, wychowanych na *Księdze dżungli*, równie egzotyczny, co podstępny, lubujący się w ludzkich trzewiach tygrys pozostał symbolem bestii, wcieleniem krwiożerczych instynktów i najstraszliwszej siły natury, z którą nie wygramy. Wydawał się taki nawet człowiekowi zaszytemu pod ciepłą kołdrą w swoim europejskim łóżku, którym

byłam, zaczytując się tą książką. Największy jednak lęk wywołuje w nas dzika i nieopanowana przyroda – ta, która wymyka się ludzkiej kontroli, pozornie roztaczanej niemal nad całym światem. Reprezentują ją wulkany, cyklony, rekiny, wilki i inne drapieżniki ze strachu przez nas eliminowane.

Drapieżniki od zawsze karmiły ludzkie lęki, napędzały wyobraźnię, były bohaterami legend, a potem popkultury. Zła reputacja tych zwierząt, często wynikająca z braku wiedzy biologicznej, powodowała ich masowe mordowanie. Lęk przed byciem zjedzonym przez zwierzę to funkcja ochronna, która zupełnie zanika, gdy zmienia się środowisko życia, a wraz z nim szansa na spotkanie drapieżnika. Ale pozostaje mit, którym żyjemy – świadomie bądź nie. To prastary topos krwiożerczej bestii, którym do dziś karmi się kultura, także popularna. Przedstawiono go choćby w kultowych *Szczękach* Stevena Spielberga, wzbudzających lęk przed rekinami, czy w filmie *Duch i mrok* Stephena Hopkinsa – „historii opartej na faktach”, opowiadającej o lwach ludojadach i niestety całkowicie przeinaczającej fakty.

Obecnie wiemy już, że przedstawienia zwierząt w ludzkiej kulturze nie są niewinne, bo wywołują określone postrzeganie i mają fundamentalny wpływ na nasz stosunek do wielu gatunków. Te obrazy – literackie, plastyczne, filmowe – mogą być bardzo mylące i krzywdzące dla zwierząt. Na przykład mit tygrysa ludojada, który stworzyli Europejczycy i który przyczynił się do masowej eliminacji tych zwierząt w azjatyckich dżunglach. Zwierzęta pełnią w ludzkiej cywilizacji i kulturze taką funkcję, jaką im nadaliśmy. Ich przedstawienia mogą więc realnie przyczynić się do ich wyginięcia lub objęcia ochroną, co jest szczególnie istotne dziś, w czasie szóstego wymierania gatunków.

Po latach przyrodniczych badań i obserwacji potwierdzono, że tygrysy nie żywią się ludźmi – nie jesteśmy dla nich pożądaną zdobyczą (choć stosunkowo łatwą do upolowania). Tygrysy są wobec ludzi ostrożne i unikają konfrontacji, dlatego przemykają przez las jak duchy. Zostało to zapisane w wielu opowieściach i mitologiach rdzennych ludów Azji, które od tysiącleci współistniały z wielkimi kotami, ale też w notatkach europejskich myśliwych. „Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że nie tak łatwo jest zobaczyć tygrysa na wolności! Lata mijały. Tygrysy przychodziły i odchodziły. Co roku chodziłem z ojcem zapoLOWać na któregoś z nich, lecz nie tylko upolować, ale nawet zobaczyć



W ciągu ostatniego stulecia bezpowrotnie wyginęły trzy z dziewięciu wyodrębnionych podgatunków tygrysa, a od początku XX wieku straciliśmy aż dziewięćdziesiąt sześć procent światowej populacji tygrysów. Szacuje się, że w 2024 roku na całym świecie żyje na wolności około pięciu i pół tysiąca tych dzikich kotów (w niewoli cyrków, zoo i prywatnych rękach jest ich kilka razy więcej).

żadnego się nie udawało”<sup>14</sup> – pisze syn polskiego przyrodnika Michała Jankowskiego, powstańca zesłanego w 1863 roku na Syberię, gdzie wciąż żyje podgatunek tego zwierzęcia – tygrys syberyjski.

Tygrysy atakują wtedy, gdy człowiek niepokoi je na ich terytorium – zarówno samym wtargnięciem, jak i towarzyszącymi mu bodźcami, na przykład hałasem rozbrzmiewającym podczas zbiorowych polowań czy karczowania lasu. Atakują, gdy czują się zagrożone i chcą ochronić swoje młode. Zdarza się, że podobnie jak lamparty rzucają się na kucających ludzi, zwłaszcza w ubogich, niezurbanizowanych częściach Azji, których mieszkańcy do dziś załatwiają swoje potrzeby fizjologiczne w pobliskich lasach lub zaroślach. Takie wypadki są przez zoologów uwa-

żane za swoistą pomyłkę – skulone ofiary są prawdopodobnie brane za przedstawicieli innego gatunku, zwykle stanowiącego pożywienie drapieżnych kotów. Podobnie w wypadku ataków na ludzkie dzieci. Niski wzrost może sprawiać, że lamparty i tygrysy widzą w nich swoje naturalne ofiary.

Inne powody ataków, najczęściej wskazywane przez badaczy, to choroba zwierzęcia, fizyczne niedomaganie i zaawansowany wiek. Te wielkie koty żyją samotnie – w wypadku osłabienia nie mogą liczyć na wsparcie, które zapewniają sobie stadne zwierzęta, jak choćby lwy. Dlatego ludzi atakują najczęściej osobniki stare, niedołążne i schorowane, niemające siły na pościg za inną zwierzyną. Tygrysy bezzębne czy kulawe, takie jak Shere Khan, który w książce jest określany jako Lungri – kuternoga.

Podczas lektury Kiplinga większości czytelniczek i czytelników umyka informacja, która w cieniu rozłożystego figowca pada z ust zaopatrzonego w fuzję myśliwego Buldeo. Shere Khan utyka, gdyż rzekomo jest wcieleniem duszy kulawego lichwiarza Puruna Bhagata, pobitego niegdyś przez wykorzystywaną przez niego ludność wioski. Tygrys jest więc dosłownie materializacją chciwości i „krwiopijstwa”. Po chwili jednak Mowgli stwierdza: „W całej tej historii nie ma śladu sensu. Tygrys urodził się kulawym, przeto utyka”. To ważny trop.

Ze względu na działanie mechanizmów doboru naturalnego kaleki tygrys, podobnie jak każde inne kalekie dzikie zwierzę, nie dotrwałby do wieku dojrzałego. Takie osobniki szybko padają ofiarą innych drapieżników lub giną odrzucone przez matki. Dlatego dorosły samiec Shere Khan, który – jak mówi fabuła – urodził się kulawy, w rzeczywistości nie miałby szans na przeżycie jako dziki. Mimo to Shere Khan uosabia popularną w kolonialnym piśmiennictwie figurę kulawego tygrysa.

Skąd jednak wzięły się utykające tygrysy? Także te, które ze względu na swoją ułomność są zmuszone żywić się wolno uciekającymi ludźmi? Otóż owe „bestie” polujące na ludzi stworzył sam człowiek. Takie zwierzęta to najczęściej ofiary kłusowników – zastawianych przez nich wnyków lub niegdyś notorycznie raniących je kul myśliwych, o których możemy przeczytać w wielu dziewiętnastowiecznych relacjach. Badania dowiodły, że tygrys – często okaleczony – atakuje ludzi jedynie w wyniku fizycznej słabości czy choroby, poczucia zagrożenia lub w wyniku pomyłki, nie zaś z apetytu na ludzkie trzewia, wrodzonego okru-

cieństwa lub żądzы krwi, o co bywa posądzany w licznych przekazach. Żałuję, że nie miałam o tym pojęcia jako dziecko, gdy czytałam Kiplinga.

A mimo to przez całe wieki żadna inna cecha tego fascynującego i majestatycznego zwierzęcia, jakim jest tygrys, nie zajmowała nas bardziej niż właśnie „bezduszne” zjadanie ludzi. W indyjskich księgarniach i na straganach w całym kraju od dziesięcioleci ogromną popularnością cieszą się *Ludojady z Kumaonu*. Ten myśliwski pamiętnik, wydany po raz pierwszy w 1944 roku i przetłumaczony na trzydzieści języków, niemal zawsze znajduję w biblioteczkach indyjskich hoteli i hosteli, w których się zatrzymuję. Kiedyś był on bestsellerem w całym świecie anglosaskim i do 1946 roku rozszedł się w ponadpółmilionowym nakładzie (choćż koniec II wojny światowej nie był dobrym czasem dla rynku wydawniczego).

Autor książki to Jim Corbett – brytyjski myśliwy i do dziś narodowy bohater Indii. Na początku XX wieku zastrzelił trzydzieści dwa dzikie koty (tygrysy i lamparty), które polowały na wiejską ludność na północy Indii i w Nepalu. Zabiły one łącznie ponad tysiąc ofiar. Najbardziej znanym z nich i prawdopodobnie najpopularniejszym na świecie przedstawicielem gatunku była tygrysica z Champawat. Przypisywano jej zabicie aż 434 osób, głównie pracujących w lesie kobiet. Ze względu na to nazywano ją demonem z Champawat, wzbudzając nie tylko strach, lecz także rozpalając wyobraźnię skojarzeniami z diabolicznymi mocami. Tymczasem oględziny jej ciała dokonane przez samego Corbetta wykazały, że tygrysica miała połamane dwa kły, co z pewnością unieвозмоżliwiało jej polowanie na trudniejsze do pochwycenia ofiary.

Istnieje też hipoteza mówiąca o wcześniejszym postrzeleniu tego zwierzęcia przez kłusowników. Zadane rany doprowadziły ją do kalectwa, ponadto zaś degradacja jej naturalnego siedliska przez kolonizujących te rejony ludzi pozbawiła ją odpowiedniej bazy pokarmowej. Wszystkie te elementy potwierdzają, że tygrys nie jest z natury ludojadem, lecz staje się nim wskutek ingerencji człowieka – o czym przekonuje Dane Huckelbridge. W książce *No Beast so Fierce* pisze on: „Przez połączenie nieodpowiedzialnej gospodarki leśnej, polityki rolnej i praktyk łowieckich pod koniec XIX wieku Brytyjczycy w Zjednoczonych Prowincjach północnych Indii [...] stworzyli warunki idealne dla katastrofy ekologicznej”<sup>15</sup>.

Ta sytuacja dotyczyła całych Indii Brytyjskich i całego podporządkowanego imperium kolonizowanego świata. Dziś wiemy, że kolonializm,

obok industrializacji, masowego wylesiania, neoliberalnego reżimu i kapitalistycznej gospodarki z jej konsumpcjonizmem, to jedna z głównych przyczyn katastrofy klimatycznej, której skutki są znacznie dotkliwsze dla ludzi zamieszkujących były kolonie i świat globalnego Południa niż dla potomków kolonizatorów z globalnej Północy.

Corbett, choć był typowym paternalistycznym myśliwym, miał pewną świadomość skutków kolonializmu dla środowiska naturalnego. Dlatego z czołowego pogromcy dzikich kotów zmienił się w fotografa i pioniera ochrony indyjskiej przyrody oraz zagrożonych wyginięciem... tygrysów. Pierwszy park narodowy w Indiach został nazwany jego nazwiskiem, podobnie jak jeden z sześciu żyjących wciąż na Ziemi podgatunków tygrysów – *Panthera tigris corbetti*, zwany też tygrysem indochińskim. Obecnie Park Narodowy Jima Corbetta zamieszkuje najliczniejsza populacja tygrysów w całych Indiach. To też pierwszy w historii Indii park narodowy, w którym od 2021 roku jako przewodniczki są zatrudniane kobiety.

Zanim Corbett przeszedł transformację i stał się orędownikiem ochrony dzikich kotów, w swojej kultowej książce myśliwskiej obalał mity odnoszące się do tygrysów. Niestety jej recepcja często sprowadza się do okładki z obnażającym kły tygrysem. Tymczasem autor *Ludojadów z Kumaonu* już we wstępie pisze:

Gdy nie mieliśmy sposobności ukształtowania sobie opinii na jakiś temat w oparciu o własne doświadczenie, wówczas jesteśmy skłonni polegać na zdaniu innych i w żadnym przypadku nie przejawia się to tak wyraźnie jak wtedy, gdy chodzi o tygrysy [...]. Ktokolwiek pierwszy dla udosadnienia języka użył przerośnięty w rodzaju „okrutny jak tygrys” albo „krwiożerczy jak tygrys”, nie tylko wykazał się żalosną ignorancją na temat zwierzęcia, które podał w osławę, ale nadto dał żywot obiegowym liczmanom, głównie odpowiedzialnym za nieprzychylną opinię, jaką tygrysy mają u ludzi – wyjątek stanowią ci nieliczni, którzy mieli możliwość wyrobienia sobie własnego sądu.<sup>16</sup>

Jeden z badaczy oszacował, że w ciągu ostatnich czterystu lat tygrysy mogły zabić około miliona Azjatów, głównie w Indiach. Niektórzy twierdzą, że ofiar było więcej, ale pewnych danych brakuje. Joseph Fayrer, autor jednej z pierwszych prac o tygrysach, podaje, że około 1856 roku

i w poprzednich latach tygrysy zabijały od dwustu do trzystu osób rocznie w jednym centralnym stanie Indii – Madhja Prades. Raporty rządu brytyjskiego mówią o 4218 ofiarach tygrysów w Bengalu w latach 1860–1866. Jeszcze na początku XX wieku w całych Indiach tygrysy miały zabijać około tysiąca osób rocznie. Ile tygrysów zabił przez ten czas ludzie?

Przypuszcza się, że w 1907 roku, gdy tygrysica z Champawat umiera od kuli w serce, na całym globie żyje w stanie dzikim sto tysięcy tych zwierząt, a w samych Indiach około czterdziestu tysięcy. Niecałe czterydzieści lat później w liście do przyjaciela datowanym na 1946 rok Corbett szacuje już, że w Indiach pozostało około czterech tysięcy tygrysów bengalskich, a ich populacja drastycznie spada ze względu na masowe zabijanie, zwłaszcza sportowe polowania. Tylko w ciągu trzech lat, od 1966 do 1969 roku, myśliwi zabijają w Indiach pięćset tygrysów. Sporządzony w 1972 roku rządowy spis tych zwierząt mówi już o niecałych dwóch tysiącach kotów w całym kraju, czyli utracie około trzydziestu sześciu tysięcy tygrysów w ciągu zaledwie siedmiu dekad.

Tygrysy chodziły po Ziemi od milionów lat i spośród wszystkich kotów miały najszerszy zasięg geograficzny, obejmujący całą Azję. Najstarsze skamieniałe szczątki tych dzikich kotów, znalezione w Azji Południowej, pochodzą sprzed dwóch milionów lat. Od tysiącleci tygrysy miały też symboliczne znaczenie w kulturze i szczególnie miejsce w wierzeniach ludów całej Azji. Najwcześniejszym śladem kultu tygrysa jest przedstawiająca go figurka sprzed siedmiu tysięcy lat, wykonana w okresie neolitu na terenie dzisiejszych Chin. Obecnie, wskutek działań ludzi, na planecie zostało około pięciu i pół tysiąca dzikich tygrysów w dziesięciu państwach świata: w Indiach, Nepalu, Bhutanie, Bangladeszu, Birmie, Rosji, Chinach, Tajlandii, Malezji, Indonezji (na Sumatrze). Oznacza to, że od początku XX wieku straciliśmy aż dziewięćdziesiąt sześć procent światowej populacji tygrysów. Tych żyjących w niewoli cyrków, ogrodów zoologicznych i w prywatnych kolekcjach jest kilka razy więcej.

Uświadamiam sobie, że tygrysy znikają z planety w trakcie mojego życia. Zaledwie od lat siedemdziesiątych XX wieku nie zasiedlają już Azji Środkowej. Został wówczas zabity ostatni tygrys w Turcji i zniknął bezpowrotnie podgatunek – tygrys kaspijski. W 1980 roku, gdy obchodziłem pierwsze urodziny, w Indonezji, którą od wieków zamieszkiwały trzy

podgatunki tygrysa, ginie ostatni tygrys jawajski. Jest 2014 rok, gdy podróżując z rodziną do Laosu, a specjaliści ogłaszają ostateczne zniknięcie tygrysów w tym kraju, których nie rejestrują już fotopułapki w ich ostatnim chronionym siedlisku. W 2016 roku tygrys zostaje uznany za gatunek wymarły w Kambodży, ostatni raz był tam widziany w 2007 roku. W podobnym czasie znika z Wietnamu – zakłada się, że dzieje się to około 2010 roku.

Choć ze względu na dużą populację tych zwierząt Półwysep Koreański nazywano niegdyś „krajem tygrysów”, a w jego kształcie widziano sylwetkę tego kota, to zarówno w Korei Południowej, jak i w Korei Północnej od lat pięćdziesiątych XX wieku dzikich tygrysów już nie ma. Ten masowo zabijany przez ludzi kot, silnie związany z koreańską historią i mitologią, wciąż jest jednak obecny w kulturze, także jako zwierzę narodowe Korei Południowej. Został zgładzony w naturze, ale zdaje się bezpieczny w sferze symbolu, między innymi jako oficjalna maskotka obu organizowanych przez Koreę Południową olimpiad – pomarańczowy podczas letnich igrzysk w Seulu w 1988 roku i biały w czasie zimowych igrzysk w Pjongczangu w 2018 roku. Ostatnie koreańskie tygrysy padły od kul myśliwych. Przyjmuje się, że w taki sam sposób ostatniego tygrysa zabito w Singapurze w latach trzydziestych XX wieku, a w Hongkongu dekadę później, gdzie tak zwany konflikt człowiek–tygrys był jednym z głównych powodów ich uśmiercania.

W większości państw Azji tygrysy były uznawane za bóstwa opiekuńcze, istoty duchowe i wcielenia przodków – na przykład na Sumatrze uważano, że tygrys jest materializacją duszy zmarłego człowieka, dlatego nie należy go pod żadnym pozorem zabijać. Ale zwierzęta te były też postrzegane jako, używając kolonialnego określenia, szkodniki mordujące bydło i ludzi, dlatego za ich zabicie rządy wypłacały obywatelom nagrody. Masowo rozstawiane w lasach druciane wnyki przyczyniły się do wyginięcia tygrysów w Kambodży, Laosie i Wietnamie – i wciąż zagrażają ostatnim tygrysom w Azji Południowo-Wschodniej.

Masowe polowania na tygrysy i zabijanie tych zwierząt zostały oficjalnie zakazane, nie zagrażają już więc tygrysom w takim stopniu jak dawniej, choć wciąż jednym z głównych problemów jest kłusownictwo. Tak zwany konflikt człowiek–tygrys wciąż istnieje, choć współcześnie przybiera inny charakter. Teraz to człowiek jest szkodnikiem. Głównym zagrożeniem dla tygrysów, symbolizujących tu dziką przyrodę, jest



ciągła ekspansja ludzkiego osadnictwa, nowych technologii, przemysłu i rolnictwa, które zyskało nowoczesną odsłonę. To właśnie zmiana uprawy żywności na przemysłową, wielkoobszarową skalę doprowadziła do wykarczowania ogromnych połaci lasów, w tym także siedlisk tygrysów.

W ciągu ostatniego stulecia bezpowrotnie wyginęły trzy z dziewięciu wyodrębnionych podgatunków tygrysa: kaspijski, balijski i jawajski. Od dawna niewidziany tygrys południowochiński najprawdopodobniej również nie żyje już w środowisku naturalnym, a ostatni przedstawiciele tego podgatunku przetrwali wyłącznie w niewoli. Pozostałe podgatunki to tygrys indochiński, tygrys sumatrzański, tygrys syberyjski, tygrys malajski i tygrys bengalski. Ten ostatni jest najliczniejszym podgatunkiem tygrysa na świecie i zasiedla głównie Indie, w których żyje dziś ponad siedemdziesiąt procent wszystkich dzikich tygrysów globu.

Od 1975 roku tygrysy zostały objęte tak zwaną konwencją waszyngtońską (CITES), czyli Konwencją o międzynarodowym handlu dzikimi zwierzętami i roślinami gatunków zagrożonych (podgatunek tygrys syberyjski dodano do niej dwanaście lat później). Nie można więc handlować częściami tygrysiich ciał ani żadnymi produktami, które są z nich zrobione, choć proceder ten do dziś dziesiątkuje te dzikie koty. Oficjalnie wszystkie kraje azjatyckie, w których występują obecnie zwierzęta gatunku *Panthera tigris*, wcześniej oznaczone przez Linneusza jako *Felis tigris*, wspierają ich ochronę. Na terenie wielu z nich wciąż istnieją jednak przemysłowe ферmy tygrysów sprzedające części ciał zwierząt. Bo martwy tygrys jest dziś cenniejszy niż żywy. Głównymi „konsumentami” tych zwierząt są obecnie Chiny, ale też Wietnam, Laos, Birma i Tajwan. Produkty z zabitych tygrysów są również nielegalnie eksportowane do społeczności chińskich w pozostałych częściach świata.

Wobec malejącej populacji tygrysów na Ziemi i groźby ich całkowitego wyginięcia, a także globalnej zgody w kwestii konieczności ochrony tego gatunku, „tygrys ludojad” wydaje się dziś jedynie przebrzmiałym fantazmatem, kulturowym toposem i pobudzającym wyobraźnię motywem w egzotycznej, trącej naftaliną dekoracji.

Teraz zaś w indyjskim Waranasi nad skrawkiem brudnej gazety, słysząc drżące *Tiger! Tiger!*, mam się dowiedzieć, że jednak to wszystko prawda? Że w czasach, gdy ludzie planują eksplorację Marsa, tygrys wciąż zjada ludzi, i to bardzo często? W czasach, kiedy ten kot stał się głównie bohaterem kreskówek, modnym wzorem na tekstyliach

i wątpliwą rozrywką ogrodów zoologicznych Teksasu, a największe światowe mocarstwa łożą miliony na jego ratowanie, gdzieś w dalekiej indyjskiej dżungli przedstawiciel tego gatunku spokojnie chłepcze ludzką krew i pożera więcej niż sto osób rocznie? Ludzi, którzy nie znają ani Blake'a, ani Kiplinga, ani żadnych zachodnich przekazów i mitów, bo nie znają liter ani pisma? Ludzi, którzy w XXI wieku mają komórki, ale nie mają pitnej wody? Ludzi, którzy nie mogą się przed tygrysem obronić, bo prawo lasu nie pozwala im wnosić do dżungli ani ostrych narzędzi, ani nawet ostrych słów?

Długo nie mogłam uwierzyć, że takie miejsce nadal istnieje. Aż to sprawdziłam.

*William Blake*

## **Tygrys**

Tygrys! Tygrys! jasno płoniesz  
W puszczach nocy – czyje dłonie  
Czyje oczy nieśmiertelne  
Mogły stworzyć twą symetrię?

W jakiej głębi, w jakiej dali  
Mógł się ócz twych ogień palić?  
Jakie skrzydła nieść go śmiały  
Czyje ręce go skrzeszały?

Czyja sztuka i czyj dotyk  
Stworzyła serca straszne sploty?  
Jak potworny był to cios,  
Który wzbudził serca głos?

Jaki młot twój mózg formował?  
W jakim żarze się hartował?  
Któż go ujął w mocne cęgi,  
Grozy nie zląkł się potęgi?

Gdy się z gwiazd sypnęły strzały,  
A niebiosą łąy oblały –  
Czy był kontent ten, co stworzył  
Jagnię, ciebie – Pan Przestworzy?

Tygrys! Tygrys! jasno płoniesz  
W puszczach nocy – czyje dłonie,  
Czyje oczy nieśmiertelne  
Śmiały stworzyć twą symetrię?

przeł. Krzysztof Puławski<sup>17</sup>

# Tygrysie wdowy

ten las jest zdolny do wszystkiego

Salman Rushdie, *Dzieci północy*, przeł. Anna Kołyszko

*Sundarbans*. Wypowiadam tę nazwę nie po raz pierwszy. Ale pierwszy raz zastanawiam się, do czego odsyła.

Sundarbany – mówię głośno, nie mając pewności co do wymowy. Znam tylko pisownię i aurę dziwności oraz grozy, która spowija ten rejon w powieściach *Żarłoczny przyływ* Amitava Ghosha i *Dzieci północy* Salmana Rushdiego. W tej ostatniej dżungla jest niezależnym bytem, który odbiera bohaterom oddech, więzi ciała i zasnuwa umysły fantasmagoriami. Na miejscu usłyszę, że las jest pełen demonów i duchów, które potrafią wywołać nagłą burzę, trząść rybacką łodzią i zmieniać kierunki świata. A jednym z najpotężniejszych demonów jest tygrys.

Wszystko, co przeczytałam o tym miejscu, brzmi jak wyjęte z *Księgi rekordów Guinnessa*.

Największe na świecie lasy namorzynowe. Największa zatoka świata. Druga pod względem wielkości delta rzeczna na Ziemi. Najbiedniejszy i najgęściej zaludniony region Azji Południowej. Najszybciej postępujące zmiany klimatyczne. Największe zagęszczenie naturalnych katastrof, w tym najpotężniejszych cyklonów. Największe na Ziemi skupisko dzikich tygrysów.

To ostatnie, choć nagminnie powtarzane nawet w prasie naukowej, nie okaże się prawdą.

Prawdę stanowi jednak fakt, że Sundarbany są ostatnim na świecie miejscem, w którym dominującym gatunkiem i drapieżnikiem szczytowym nie jest człowiek, tylko tygrys bengalski.



Niezliczone nurty, płatanina strumieni, boczne odnogi. Wielość dróg i bezkres możliwości. Internet. Tratwą z gazetowego świstka znalezionego w Waranasi przemierzam meandry wirtualnej sieci w poszukiwaniu tajemniczej wyspy, na której zakotwiczę. Jeszcze nie wiem, że to znacząca metafora. Jeszcze nie wiem, że płynę ku rozlewiskom ogromnej delty, ku stu dwóm wyspom nanizanim niczym koraliki na niesforne gęstwiny wodnych nitek, ku *atharo bhatir desz*, po bengalsku „krajnie osiemnastu przypyłów”, której kształtu nie odda żadna mapa, bo zmienia się ona cztery razy w ciągu doby. Zmienia się za dnia i w nocy. Zmienia się z dnia na dzień i z roku na rok, stopniowo oddając erodującą ziemię głodnym ustom oceanu.

Sundarbany to ostatnie na planecie tak rozległe lasy namorzynowe rozpościerające się przy ujściu trzech siostrzanych rzek: Gangi, Brahmaputry i Meghny, które tworzą tu drugą pod względem wielkości deltę na Ziemi. To one zbudowały tutejsze błotniste równiny, niosąc tysiące kilometrów osady ze swoich himalajskich dopływów. Stworzyły tereny zalewane i obnażane przez pływy, pajęczynę cieków, korzeniową płataninę mangrowców, archipelag znikających i powracających wysp. Niby-łąd. Żywiol, którego nie udało się okiełznać brytyjskim kolonizatorom. Dziś to ginąca wyspa bioróżnorodności i dom endemicznych gatunków rozciągający się na przeszło dziesięć tysięcy kilometrów kwadratowych. Ta naturalna jednia została w 1971 roku podzielona przez ludzi polityczną granicą na część Indii i część Bangladeszu. Tej linii nie uznają jednak migrujące z wyspy na wyspę zwierzęta\*.

Chaos zmiennej topografii tego rejonu nakłada się na chaos internetowych rozlewisk. W obu wypadkach długo nie będę mogła się poróżnić w kierunkach i stałych punktach, nie będę potrafiła zrozumieć, gdzie jestem i po co. Tymczasem zaopatrzona w zaledwie trzy słowa, które usłyszałam od obsługi hotelu, nawiguję przez nurty i mielizny sieci.

*Tiger. Kill. Muli.*

Samo słowo *tiger* daje około 5 miliardów 140 milionów wyników w wyszukiwarce Google.

\* Z wyjątkiem kilku fragmentów, w których zaznaczam, że odnoszę się do Bangladeszu, cała książka jest poświęcona indyjskiej części Sundarbanów stanowiących czterdzieści procent całego ich obszaru.

Oglądam grafikę. Na co liczę? Czy naprawdę wierzę, że gdzieś, na bardzo odległej podstronie, objawi mi się to samo zdjęcie grupy mężczyzn z maskami na potylicach, które przed sobą trzymam?

Wśród obrazów dominują tygrysy w gniewnych pozach, wściekle obnażające kły, szykujące się do ataku. Rzadziej koty w neutralnych pozycjach. Czasem są to zdjęcia zwierząt, innym razem ilustracje. Widzę uderzająco dużo przedstawień tygrysa białego, który w stanie dzikim występuje ekstremalnie rzadko i obecnie, po latach chowu wsobnego, żyje jedynie w ogrodach zoologicznych (ostatni raz na wolności miał być widziany w 1958 roku). Biały kolor futra i niebieskie zabarwienie tęczy tygrysa to cechy preferowane ze względu na estetyczne upodobania ludzi, którzy często przypisują takiemu zwierzęciu wyjątkowe, także magiczne moce. W chińskiej mitologii Bai Hu to jeden z czterech Strażników Nieba, chroniący zachodnią stronę świata. To król wszystkich bestii, mityczne zwierzę, które przyjdzie na świat dopiero wtedy, gdy zapanuje na nim pokój. W sieci to przede wszystkim kociak reklamujący śnieżnobiały papier toaletowy.

W naturze białe ubarwienie tygrysa to oznaka przyrodzonej słabości, genetycznego błędu, w którego wyniku zwierzę pozbawione swojego oryginalnego kamuflażu ma mniejsze szanse na przeżycie. Biały tygrys nie jest osobnym podgatunkiem – to zwierzę dotknięte leucyzmem, genetyczną chorobą związaną z zanikiem melaniny, odczeczki, chociaż rozmnażane w celu zaspokojenia potrzeb tych ludzi, którzy wciąż żyją w przekonaniu, że przyroda jest po to, by cieszyć człowiecze oko, zapewniać relaks, rekreację, przygodę. By dawać.

Tygrys więc daje – i robi to hojnie. Pod hasłem *tiger* kryją się przede wszystkim zdjęcia przedmiotów, usług i produktów sprzedawanych przez człowieka pod tą nazwą: napoje energetyzujące w różnych wersjach smakowych i kolorystycznych, spawarki, motory, czołg, duńska sieć sklepów oferująca tanie gadżety (także z tygrysami), podstawka do samochodowego fotelika dla dzieci, klocki, rozmaite zabawki i figurki, maść na reumatyzm, ciastka zbożowe, luksusowy pakiet safari w komercyjnym parku zoologicznym, frosties – lukrowane płatki śniadaniowe, czarny ryż, dozowniki na mydło, szczotka do mycia toalety, ajurwedyjski tonik na porost włosów i wiele innych. Jest kilka odsyłaczy do piosenek najczęściej inspirowanych wspomnianym wierszem Blake'a, w tym *Tiger Tiger* zespołu Duran Duran czy inny hit mojego

dzieciństwa – *Eye of the Tiger* grupy Survivor. Jest sporo wytatuowanych tygrysów, głównie na skórze męskich ciał, są podobizny kilku bokserów, w tym Polaka Dariusza „Tigera” Michalczewskiego, są doniesienia o golfiście Tigerze Woodsie. Gdy hasło *tiger* wpiszę w wyszukiwarkę dwa lata później, ekran upstrzą zdjęciami Joego Exotica, serialowego króla tygrysów.

Już na początku mojej podróży uświadamiam sobie coś, nad czym wcześniej wiele nie myślałam. Jak tygrysa, największego żyjącego dziś dzikiego kota, widzimy najczęściej w naszej ludzkiej kulturze: jako ikonę dzikiej bestii, symbol ludzkiego statusu, wcielenie zwierzęcego okrucieństwa lub przedmiot luksusowej konsumpcji i ukoronowanie hedonistycznych potrzeb człowieka. To nie tyle zwierzę, ile idea, wizja, uprzedzenie, przedmiot estetycznych uniesień i symbol majątności, nośnik unikatowego i rozpoznawalnego na całym świecie pręgowanego wzoru reprodukowanego masowo na sprzętach i tekstyliach. Z jednej strony topos wrogiej przyrody, z drugiej kojące futro pluszowej zabawki, do której tulą się miejskie dzieci zakochane w brykającym Tygrysku z *Kubusia Puchatka* A.A. Milne’a. Tygrys jest wszystkim, tylko nie tygrysem ze swoją tygrysią naturą: jest złą, ludożerczą bestią z baśni, nadrukiem na luksusowej bluzie Kenzo, granatowym tatuażem gangstera, limitowanym zestawem klocków, męskim przydomkiem świadczącym o nadludzkiej sile. Jest demonizowany, estetyzowany, infantylizowany lub – jak większość zwierząt – antropomorfizowany.

Człowiekowi trudno spotkać się oko w oko ze światem takim, jaki jest. Dużo łatwiej schronić się we własnych wyobrażeniach o nim. Człowiekowi trudno też spotkać się oko w oko z tygrysem takim, jaki jest. Nie tylko z braku odwagi i z powodu instynktu samozachowawczego, lecz także dlatego, że tych wielkich kotów w naturze już prawie nie ma. Obecnie dziki tygrys to rzadkość. Na całej planecie zostało ich mniej niż cztery tysiące. O marginalizacji zwierząt w naszym życiu pisał John Berger:

Ogrody zoologiczne, realistycznie wyglądające zwierzęcokształtne zabawki i szeroko rozpowszechnione komercyjne wykorzystywanie wizerunków zwierząt – wszystko to ma swój początek w czasie, kiedy zwierzęta zaczynają znikać z naszego codziennego życia. Można sądzić, że wynalazki te pełnią rolę kompensacyjną. Lecz w rzeczywistości same te zmiany należą do bezlitosnego procesu, który spowodował zanikanie zwierząt.<sup>18</sup>





Tygrys to już nie zwierzę, ale idea, przegowany wzór sprzedający wszelkiej maści produkty.

Im dłużej będę podróżować śladem tygrysa, tym częściej będzie się okazać, że jego legendarna agresja, przebiegłość i krwiożerczość również są konstruktem kulturowym. W przeciwieństwie do prawdziwego oblacza późnego kapitalizmu, który stał się bardziej drapieżny i podstępny od tygrysa, a jego koszty dla naszej planety są ukryte równie doskonale, co wielki kot w zaroślach.

Próbuję zrozumieć sieć powiązań między słowami, które zanotowałam w hotelu.

*Kill* – chodzi o zabijanie tygrysa czy śmierć zadaną przez dzikiego kota? I co oznacza *muli*, wyraz, który odsyła mnie do zdjęć parujących półmisków pełnych rozwartych omułek oraz jędrnego korzenia indyjskiej rzodkwi znanej jako *muli*. Próbuję wpisać liczbę mnogą. Posługuję się prawidłami angielskiej gramatyki, choć nawet nie wiem, z którego języka pochodzi zanotowany przeze mnie wyraz *muli*. *Mulies*. Teraz ekran komputera zapelniają obrazy martwych jeleni z rozłożystym porożem. Zwierzęta są oburącz trzymane przez pozujących między nimi mężczyzn. Po przejrzeniu kilkudziesięciu podobnych fotografii znajduję też dwa zdjęcia kobiet pozujących z trofeami. Mimo wyraźnego zadowolenia na ludzkich obliczach obrazy są nieprzyjemne i drastyczne: poharatane nozdrza zwierzęcia, uwalane krwią futro, bezwładnie zwi-sający z boku pyska język, odrąbana głowa na masce jeepa, zbrzyzany czerwienią śnieg.



Rybaczy i zbieracze miodu na wyspach Sundarbanów zwykli nosić maski z twarzą człowieka na potylicy, by zapobiec atakowi tygrysa, który zwykle rzuca się na ofiarę od tyłu.

Dokąd zabrnęłam? Większość podpisów sugeruje, że do Montany bądź Nevady. Okazuje się, że *mulies* to liczba mnoga od angielskiego *mule deer*. To po polsku mulak, ssak z rodziny jeleniowatych, który swoją nazwę zawdzięcza uszom dużym jak u muła.

Tracę zapał, by cokolwiek szukać. Ale zanim zrezygnuję, wpisuję słowa kojarzące się ze zdjęciem z indyjskiej gazety. *Masks boat tiger*. I oto moim oczom ukazują się kadry z postaciami w tych samych tajemniczych maskach oraz podpisy: „*Maulies*, biedni zbieracze miodu w krainie tygrysa ludojada, zostawiają po sobie «tygrysie wdowy»”. I kolejny: „Sundarbany: rybacy w maskach chroniących przed atakiem tygrysów. Tygrys zawsze atakuje od tyłu, maska z widocznymi oczami ma go zmylić”. I jeszcze to: „Sundarbany: w niektórych wioskach zostały już tylko kobiety, bo ich mężowie zostali zjedzeni przez tygrysa. Prawdopodobnie niektórzy z tych rybaków też już nie żyją”.



Oficjalnie istnieją sto dwie wyspy. Ale ostatnio przynajmniej dwie, Lohaçora i New Moore, zniknęły z powodu podnoszenia się poziomu morza, o czym wspominają jedynie naukowcy i migrujący stąd mieszkańcy – jedni z pierwszych uchodźców klimatycznych na świecie. Zaniekanie i wynurzenie się tych błotnistych terenów to odwieczny naturalny rytm Sundarbanów. Zmiany klimatu sprawiły jednak, że zmiany stały się bardziej nieprzewidywalne, a tempo erozji łądu jest chyba najszybsze na świecie, podobnie jak wzrost poziomu morza. Cyklony są tu coraz częstsze i coraz gwałtowniejsze, powodują ogromne zniszczenia, długo-trwałe zalania, a co za tym idzie – śmierć ludzi i nie ludzi.

Na obrazku utrwalanym przez przybyszy z zewnątrz, bo nie przez samych wyspiarzy, Sundarbany to przede wszystkim „las dzikich zwierząt”, „gęsty przybrzeżny las grasujących tygrysów”, „namorzynowa dżungla”, a ostatnio „cud bioróżnorodności” i jeden z najbardziej produktywnych biologicznie naturalnych ekosystemów. Tropikalne estuarium. Wyjątkowa przyroda: bujna, dzika, rzadka, wroga, bogata, zachwycająca – to najczęściej używane epitety. Coraz częściej też wrażliwa, ginąca i wymagająca ochrony jak emblematyczny dla tego regionu królewski tygrys bengalski. W przedstawieniach Sundarbanów najczęściej brakuje jednego – ludzkich mieszkańców tego archipelagu.